Nr. 36. Rok III. Nr. 36.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1\frac{1}{2}$ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 6 września 1873.

Ul. Fryderykowska Nr. 19.

Tryumfatorom.

W prześliczną noc z 1go na 2gi września miasto nasze było świadkiem niepospolitego zgiełku. Tłumy ludu z oddziałami muzycznemi na czele przebiegały ulice a dźwięki tryumfalnych marszów pomięszane z radosnemi okrzyki napełniały powietrze.

Niemcy — nasi nieproszeni goście — święcili rocznicę Sedanu, obchodzili święto wielkiego tryumfu i narodowego zjednoczenia.

Zimno, obojętnie, choć z głębokim bólem w sercu przypatrywaliśmy się téj uroczystości na polskiéj ziemi bez polskiéj ludności i mimowolnie pytaliśmy się, czy trwałém i długiém może być szczęście narodu zbudowane na krzywdzie drugiego?

Waszéj jedności i potęgi nie zazdrościmy wam, panowie Niemcy, — wiemy bowiem ile czasu i pracy, ile krwi i upokorzeń kosztowały was one. Pytamy was tylko, dla czego do grobu, z któregoście tylko co powstali, nas gwałtem wpychacie?

Odpowiecie może, że za czyny rządu nie godzi się pociągać do odpowiedzialności narodu. Słusznie. Ależ my nie widzimy żadnéj różnicy między czynami rządu a waszemi uczuciami. Wy sami prowokujecie gwałtowne środki, któremi rząd nas ściga, wasze pisma, głos waszych trybunów, postanowienia waszych zebrań — wszystko to zwraca się przeciw nam i woła na jednę nutę: vae victis!

Jesteście słabi — mówicie nam — podzieleni między trzy potężne mocarstwa, gubicie się częściowymi wybuchy, przerzucając się nieustannie z rewolucji w reakcję, z patrjotycznych uniesień w apatję tracicie jędrność i wątek pracy. Podzieleni na stronnictwa trawicie się sami w sobie, podtrzymujecie kontynualność anarchji, uniemożebniacie jednolitość narodowego kierunku, zatracacie poczucie wspólnéj należności. Czyż nie lepiéj poddać się losowi i korzystać w pokoju z dobrodziejstw wszelakiego postępu i cywilizacji, którą wam niesiemy?

Nie chcemy dobrodziejstw waszéj cywilizacji, bo ta pozorną jest — bo nie szanuje naszych przekonań ani praw naszych, bo niesie nam zagładę i przeczy Bogu. Nie staniemy nigdy pod proporcem, na którym napisaliście: Przestańcie być czém jesteście!

Prawda, że jesteśmy podzieleni i słabi, ale przypomnijcie sobie jak to było u was w chwili, gdy powstała pierwsza myśl niemieckiéj jedności?

Podzieleni na mnogość państewek krwawe z samymi sobą wiedliście zapasy a „Landfrieden" i „Związek szwabski" nie były w stanie tamować potoków krwi przelewanéj dla fantazji i buty „małych i wielkich panów." Słomiany cesarz chwiał się na papierowym tronie a dokoła wrzało w srogiéj niewoli biczowane chłopstwo.

Wielki był upadek i wielka niedola waszego narodu w chwili, gdy się poczęło dzieło odro-

dzenia. W 1518 r. podniósł Hutten ideę jedności Niemiec z cesarzem na czele, a w cztery lata potém utopił ją Greiffenclau w krwi rycerstwa pod murami Landstuhla. Nastąpiło 348 lat najfatalniejszéj reakcji partykularyzmu, służby kamaszowéj, harcapów i wszelkich sztuczek, którremi despotyzm usypia pragnienia narodu. Gnębieni przez własne książęta i obce najazdy byliście przez trzy wieki kopciuszkiem Europy. Zdawało się, że słynny „deutscher Michel“ nigdy się już nie obudzi a jednak stało się inaczéj, bo oto grom armat pod Sadową zwiastował wam i światu jedność polityczną Niemiec.

Powstaliście z nicestwa i jesteście potężnym, chwilowo najpotężniejszym narodem — przeszliście klęski równe tym, które nas od stu lat dotykają, a jednak istniejecie. U was także panowała apatja a taki nawet Goethe, najpotężniejszy wasz genjusz, oddawał się spokojnie studjom przyrodniczym w chwili narodowego pogromu.

Dla czegoż porobiwszy w szkole własnych nieszczęść takie doświadczenia, nie rozciągacie ich na nasz naród?

Zaślepieni powodzeniem, w siłę tylko materjalną wierzycie — my polegamy na sprawiedliwości bożéj i przyrodzonych naszych prawach. Z wiarą w przyszłość obstajemy przy nich a gwałty wasze nie złamią nas nigdy.

Potomność sądzić nas będzie a wówczas kto wié, czy każda z krzywd, jakie nam zadajecie, nie zaważy tyle, ile zaważył siwy włos ojca na szali grzechów Franciszka Moora.

W dzień waszego narodowego święta powtarzamy wam słowa Schillera:

„Gemeine Naturen
Zahlen mit dem was sie thun, edle mit dem was sie sind.“

My jesteśmy Polakami a wy czynicie bezprawia.

Znaczenie w dawném prawie polskiém dziesięciny gonionéj.

(Decima in gonythwam).

Dziesięciny kościelne nigdzie w Europie w tak błogim jak u Sławian nie znajdowały się stanie, a najświetniejsze powodzenie miały u tych ludów, które zamieszkawszy w Polsce, pozostały wiernemi rzymsko-katolickiemu kościołowi. Atoli od czasów nastania w niéj osadnictwa niemieckiego i pojawienia się przez to umów o dziesięciny, pogorszyła się tychże dziesięcin dola. Zaczęto wtedy odróżniać uprzywilejowane role od tych, z których nie według powszechnego, lecz, jak się wyrażali Rzymianie[1]), wyjątkowego prawa można ją było żądać. Wyjątkowość ta polegała na tém, że kto posiadał łan zależnym zwany, płacił dziesięcinę in gonithwam. Ponieważ wyrazów „łan zależny, gonitwa“, coby znaczyły, dotąd, zdaniem mojém, nie wytłomaczono jak należy, swoją więc o ich znaczeniu myśl objawię.

Antoni Zygmunt Helcel mniemał, że dziesięcina w gonitwę opłacalna nazywać się ztąd miała, że ją zganiano, czyli z całego okręgu opłacającego ją zbierano, a zebrawszy dostawiano właściwemu proboszczowi[2]). Wyrozumienie wyrazu oparł on na Długoszu, który rzekł, że dziesięcina wspólnie (in commune) dawana, nazywała się téż (alias) opłacaną w gonitwę[3]). Ale pytanie zachodzi, czy Długoszowe orzeczenie tak rzeczywiście wyrozumieć należy? Jeżeli tak, to można znowu pytać, czemu się w powyższy sposób nie wysłowił, gdy mówił o sepach wspólnie uiszczanych?[4]) Czemu nie ostrzegł, że te nie znają gonitwy, i dla czego?

Ponieważ więc do żadnéj opłaty wspólnie darowanéj, lecz do saméj tylko dziesięciny Długosz zastósował gonitwę widać ztąd, że łacińską partykułę alias w jego orzeczeniu czytaną, nie należy odnieść do wyrazu in commune, który gonitwę niby ma objaśniać, i że nie to znaczenie, jakie Helcel partykule owéj dał, lecz wcale inne dać jéj potrzeba. Jakoż w klasycznéj łacinie znaczy partykuła alias toż samo, co „niekiedy“[5]) i takież samo znaczenie ma ona w mowie prawników rzymskich[6]). Mniemam, że w tém wyrozumieniu wzięta i do starosławiańskich wyrażeń: gonitwa, pogoń zastósowana partykuła rzeczona, uwydatni znaczenie, w jakiém dziś jeszcze drugi osobliwie wyraz występuje w mowie Czechów[7]). W niéj on toż samo znacząc co rzymskie persequi (ścigać), orzeka prawo służące temu, który nie potrzebując czekać na wyrok sądu do wydania pozwu upoważniający, dozwala wezwać natychmiast i pod osobistym przymusem do złożenia dziesięciny, należącéj się z prawa od tego, który podlega gonitwie.

Wygodniéj było brać dziesięcinę ryczałtem, czyli pobrać ją razem od całéj gminy, niż ściągać takową od każdego kontrybuenta osobno. Właśnie ten sposób opłaty był nienawistny osadnikom niemieckim, nielubiącym spółek. W tym atoli razie musieli uledz potrzebie i przystać na to, że niekiedy bywał goniony o dziesięcinę niewinny za winnego. Bo ilekroć gromadnik zalegał w opłacie jéj, czyli wspólnie z gminą nie opłacił dziesięciny, musiała ona zastąpić go w opłacie, ale saméj

[1]) Rzymski prawnik Papinian (fr. 15 de vulg. et pupilari subst. w XXVIII tytule Dig.) odróżnia jure communi od ex privilegio.

[2]) Bibljoteka Warsz. r. 1863. III, 52.

[3]) W Długosza Lib. benef. II, 162 in commune alias in gonithwam.

[4]) Liber benef. III, 192, osszyep datur ab omnibus, in commune (in villa Zorzow).

[5]) Nonunquam pro alias repetito ponuntur aliae particulae interdum plerumque, aliquando. Patrz totius latinitatis Lexicon consilio et cura Jacobi Facciolati opera et studio Aegidii Forcellini pod wyrazem alias.

[6]) Barnabae Brisonii de Verborum sugnificatione, gdzie czytamy: alias pro aliquando, alio casu, aliter.

[7]) Puhon od starosł. pognati, mającego to samo znaczenie co rzymskie persequi (dorozumieć się jus suum). Polacy i reszta Sławian wyrazem zwati (rzymskie vocare in jus) posługiwać się woleli. Patrz w Miklosicza słowniku gonitwa, pogoń.

tylko dziesięciny, gdyż do innych danin (weźmy n. p. sepy) nie godziło się wcale używać gonitwy. Z postępem czasu wykluczono gonitwę ze spółek i kazano na każdym zosobna ludowym mężu poszukiwać jéj. Szlachta bowiem z mocy uchwały synodu prowincjonalnego w Sieradzu, jak wnet powiemy, odbytego, nie ulegała gonitwie. Jeżeli się więc goniony o zapłatę tłómaczył, że będąc mężem rycerskiego stanu, ma prawo dawać dziesięcinę nie miejscowemu proboszczowi, lecz kościołowi temu, który sobie upodobał, kazano wtedy sprawdzić sądownie stan jego osobisty, a następnie ścigać go, gdy się pokazało, że nie jest za rycerza uznawany [8]).

Prawo płacenia dziesięciny nie miejscowemu proboszczowi lecz kościołom, które sobie upodobano, nadał szlachcie synod sieradzki r. 1233. Nadając je naśladował Szląsk, gdzie poprzednio (r. 1213—17) zwyczaj podobny istniał [9]). Uchwała synodalna pociągnęła za sobą ważne skutki. Od czasu bowiem nastania jéj w Polsce, zaczęto dzielić łany na zależne i niezależne, czyli na takie, które w opłacie dziesięcin od miejscowych kościołów zależały i nie zależały (decima illibera, libera).

Pokazuje się ztąd, że mylnie nazywa Piotr Burzyński w gonitwę opłacaną dziesięciną wyłącznie tę, którą dawano z roli własnością męża rycerskiego stanu będącéj, a kmieciom w posiadanie przezeń danéj, następnie zaś odebranéj im i obróconéj na folwarczne grunta, lub oddanéj w posiadanie innemu rycerskiego stanu mężowi, z któréj on, jako z łanu „wygonionego“ dziesięcinę opłacać musiał w „gonitwę“ [10]). Bo gdy nie z innéj, jak tylko kmiecéj roli, przez kogobądź posiadanéj, musiała być płacona, bez żadnego na to względu czy właścicielem takiéj roli był Król Jegomość, biskup, proboszcz (uważany jako właściciel i płacący dziesięcinę z własności swéj), mieszczanin, wójt, sołtys i bez różnicy każdy tak czasowy czynszownik jak i wieczysty, który własność swą innemu kmieciowi wydzierżawił, przeto gonitwa nie od „wygonienia“ lecz od „gonienia“ (ścigania) nazwę swą uzyskać musiała.

Zgoła na łanie zależnym ciążył dług hipoteczny, a ciążył wiecznie i nie mógł być z niego nigdy i przez nikogo, władzę prawodawczą wyjąwszy, usunięty. Czytamy przeto, że ktoś płacąc dziesięcinę z roli od kmieci posiadanéj, gdy dowiódł, że rola rzeczona była od czasów najdawniejszych szlachecką własnością, spędzał z niéj kmieci i szlachecką dziesięcinę płacił [11]). Czytamy też, że folwark Króla Jegomości jeden obsiadły od kmieci dawał dziesięcinę w gonitwę, a drugi, po ustąpieniu tychże, mając puste role, nie płacił żadnéj dziesięciny, co za niesłuszność poczytuje Długosz, uważając, że gdy puste owe role zostawszy zabrane na folwark korzyść przynosiły właścicielowi, przeto słuszność wymagała, ażeby z nich dziesięcina płaconą była [12]). Czytamy nakoniec, że skoro dwór (rozumie się szlachecki) spędził z łanu kmieci i sam posiadł go, płacić z niego dziesięcinę w gonitwę [13]) musiał koniecznie. Czytamy wreszcie, że szlachta powypędzawszy kmieci z ról i z nich porobiwszy folwarki, nie płaciła dziesięciny tam, gdzie ją dawali oni, lecz gdzie się jéj spodobało [14]).

Z badań tych wynika nowe pytanie: „Czy mógł kmieć posiadać łan szlachecki, a szlachcic kmiecy?“ I owszém mógł, ale każdy posiadacz musiał się z tego względu zastósować do prawa, jakie ciążyło na rzeczy wziętéj przezeń w posiadanie. Praw swych osobistych nie pogarszał on ani nie polepszał przez to. Ksiądz biskup gdy kmiece posiadał łany płacił dziesięcinę kmiecą i mógł być o nią goniony [15]). Ksiądz proboszcz gdy jako właściciel posiadł szlacheckie lub za szlacheckie poczytane łany, nie kmiecą lecz szlachecką płacił [16]). Mylnie się przeto wyraził Lelewel, mówiąc: że gdy przez posiadłość kmiecą przechodziło się w stan kmiecy, więc ani kmieć szlacheckiego, ani szlachcic kmiecego nie mógł posiadać łanu [17]). Wiadomo bowiem, że szlachcic siedział prawnie na kmiecym łanie [18]) a kmieć na rycerskim [19]) i że Król Jegomość z posiadanego folwarku kmiecą dziesięcinę płacąc [20]), bynajmniéj przez to głową szlachty być nie przestawał a kmieć z posiadanego takiegoż łanu do rycerskiéj służby obowiązany będąc, przez to nie uszlachcał się wcale, lecz nabywał prawa być uszlachconym [21]).

Wacł. Alex. Maciejowski.

---

[8]) Umowy Bodzanty z Kaźm. Wielk. u Bandke w Jus Polonicum 166.

[9]) Helcel w Bibl. Wsrsz. r. 1863. III, 30.

[10]) Prawo polskie w Krakowie 1867—71, w dwóch tomach wydane. Patrz II, 450—1.

[11]) Długosz w Liber benef. I, 194 de decima multorum agrorum cmetonatium spoliavit et ex possesione dejecit.

[12]) Tenże II, 96 est ibi praedium optimum regium, de cujus agris solvitur decima manipularis in gonithvam: a przeciwnie czytamy tamże I, 509 „curia regia occupavit maltos laneos et agros cmethonum desertos, de quibus sibi usurpat decimam.

[13]) Tamże I, 73 quem laneum colit curia cmetone deposito, sed decimam de hujusmodi laneo dat in gonithvam.

[14]) Tenże, I, 176.

[15]) Liber benef. I, 13.

[16]) Tamże, str. 194.

[17]) Polska wiek. średn. III, 378—9. II, 271—5.

[18]) R. 1421, nr. 1795 w Helcla Praktyce sąd.

[19]) R. 1498 nr. 4491, tamże.

[20]) Liber benef. II, str. 96.

[21]) U Helcla tamże: Statut wiślicki małopolski §. 43, miles creatus de Sculteto vel cmetone. R. 1448 nr. 4494. Nobilis Andreas laneum agri super laborioso Johanne. Nyemyecz propter ejus non expeditionem ad bellum jure quaesivit.

HELENA.

Powieść Turgenjewa.

I.

W cieniu rozłożystéj lipy nad brzegiem rzeki Moskwy w skwarny dzień letni 1853 roku leżało w trawie dwóch młodych mężczyzn. Jeden, na pozór mogący liczyć lat dwadzieścia trzy, wysoki, o ciemnym kolorycie twarzy, ostrym, nieco zakrzywionym nosie, z czołem otwartém i powstrzymywanym na szerokich ustach uśmiechem, leżał na wznak i lekko migocącemi oczyma poglądał w przestrzeń; drugi, leżący na piersiach, wsparł na obu dłoniach głowę zdobną jasnemi puklami blond włosów i wzrok również w dal posłał. Był on trzy lata starszym od swego towarzysza, zdawał się przecież znacznie młodszym być od niego: wąsik zaledwie począł mu się sypać a brodę otaczał lekki puszek. Było coś dziecięco sympatycznego, coś ujmującego a pełnego wdzięku w kształtnych rysach świéżéj jego, okrągłéj twarzy, w tych jego pogodnych ciemnych oczach, w ustach pięknych a pełnych i drobnych białych dłoniach, na któ-

rych opierał głowę. Cała ta postać była uosobieniem zdrowia, wesela, szczęśliwéj beztroski, bezgranicznéj ufności w siebie, młodzieńczéj płochości i młodzieńczego téż czaru. Pozwolił oczom błądzić bez celu w około i głowę pochylił wdzięcznie, jak to czynią zazwyczaj dzieci przeświadczone o tém, że się na nie z przyjemnością patrzy. Miał na sobie jasne szerokie ubranie w rodzaju owych bluz, które przywdziewamy od kurzu, błękitną chustkę na szyi a obok niego w trawie leżał zgnieciony słomiany kapelusz.

W porównaniu z nim towarzysz zdał się starym i nikomu, patrząc na jego sztywną postać, nie mogłoby przyjść na myśl, że i on doznaje jakiéjś przyjemności, że i on jest pod wpływem czaru natury. Było coś dziwnie niezgrabnego i w téj pozycji jaką przybrał, i w téj głowie jego górą szerokiéj a zwężającéj się dołem, osadzonéj na długiéj szyi; niezgrabność ta przebijała się niemniéj w układzie rąk i w tym czarnym, krótkim surducie, który krępował jego ciało. Mimo to wszystko znać w nim było dobrze wychowauego człowieka; cała jego postać miała na sobie owo piętno „porządku", a twarz jego niepiękna a nawet nieco komiczna zdradzała przywyknienie myślenia i dobroduszność. Nazywał się Andrzéj Piotrowicz Bersenjew; jego towarzyszowi, młodemu blondynowi, na imię było Paweł Jakowlewicz Szubin.

— Czemuż jak ja nie leżysz na piersiach? rozpoczął Szubin. Tak leżąc można podziwiać tego okrągłego jelonka wdzierającego się na trawkę, lub mrówkę, gdy zapracowana biega w około. To przecież rozsądniejsze! A ty leżysz w téj twojéj pseudo klasycznéj pozycji rozciągniony jak tancerka w balecie wsparta o tekturową skałę. Nie zapominaj, że teraz przecież masz wszelkie prawo wypoczęcia; boć to nie drobnostka wyjść trzecim z examinu na kandydata! Wypocznijże, Sir, przestań się natężać, wyciągnijże wygodnie twe członki!

Szubin wymówił te słowa przez nos, powolnie i pieszczotliwie (tak przemawiają zwykle zepsute dzieci do przyjaciół domu, przynoszących im cukierki), i nie czekając odpowiedzi, ciągnął daléj:

— Co mnie najmocniéj zdumiewa w mrówkach, jelonkach i wszelkich tego rodzaju stworzeniach, to właśnie ta ich niezmierna powaga, z jaką się krzątają około swego życia; myślałbyś, patrząc na nie, że i ich istnienie coś znaczy! Człowiek, ten król świata, ta wyższa po nad wszelkie twory ziemskie istota, pogląda na nie z góry, a one, patrz, nie zwracają na to żadnéj uwagi; co więcéj, taki komar pozwala sobie często siąść na nosie królowi stworzeń i uważać go za źródło pożywienia dla siebie. To obrażające! Drugostronnie przecież — czemużby ich życie miało mniéj znaczyć niż nasze? Czemuż nie miałyby przywiązywać do niego wielkiéj wagi, kiedy nam to wolno czynić? Filozofie, rozwiąż mi tę zagadkę! Czemuż nic nie mówisz? Jakże?

— Co ty chcesz?... — spytał Bersenjew z marzeń zbudzony.

— Co? powtórzył Szubin. Twój przyjaciel roztacza przed tobą cały krąg najgłębszych swych myśli, a ty nie raczysz go nawet słuchać!

— Ja się rozkoszuję krajobrazem! Spójrz jak te pola przepysznie błyszczą w blasku słońca!

— Przecudowny koloryt, mruknął Szubin. Słowem, natura!

Bersenjew wstrząsnął głową.

— Tybyś powinien nieskończenie więcéj odemnie znajdować w tém przyjemności. Toż przecie wkracza w twe powołanie: tyś artysta.

— Nie! to nie ma nic wspólnego z mojém powołaniem, odparł Szubin. Mnie potrzeba tylko mięsa; mojém zajęciem — ciało, studjować ciało, ramiona, ręce, nogi modelować; a tu nic nie ma formy, nic określonego, tu wszystko jedno z drugiego wypływa... Zróbże tu coś podobnego!

— A przecież to jest piękne w swoim rodzaju! zauważył Bersenjew. Powiedz mi, czyś skończył już twoją płaskorzeźbę?

— Przyjrzałem się życiu, starożytnym twórcom i rozbiłem w kawałki moje dzieło. Pokazujesz mi naturę i mówisz: i to jest pięknem. Bezwątpienia, piękno jest we wszystkiém, znajdziesz je wszędzie, nawet w twym nosie, czyż chciałbyś jednak ścigać wszelkie piękno? Starożytni nie biegli za pięknem; ono dobrowolnie schodziło i wcielało się w ich dzieła, Bóg wié zkąd, może z nieba? Do nich świat należał; my przecież nie zdolni jesteśmy tak objąć świata; ramiona nasze zbyt małe. Zarzucamy więc wędkę w jedno miejsce i bacznie uważamy. Jeśliśmy je pochwycili, wybornie! jeśli nie...

— Dość! dość! czekaj! przerwał Bersenjew, ależ to sprzeczność! Jeśli nie czujesz, nie kochasz piękna, gdybyś je nawet napotkał, pierś twa nie otworzy się dla niego. Jeśli duszy twéj piękny widok, muzyka cudowna nie wzruszy, chcę powiedzieć nie zbudzi w tobie uczucia...

— Ah, wzbudzaczu uczuć! przerwał Szubin i zaśmiał się z tego nowo ukutego wyrazu; Bersenjew przecież pozostał poważnym. Nie, bracie, ciągnął daléj Szubin, tyś głową otwartą, rozumnym, filozofem, trzecim kandydatem moskiewskiego uniwersytetu, z tobą się sprzeczać niebezpiecznie, zwłaszcza mnie, studentowi, com wyszedł nieukończywszy nauk; jedno przecież muszę tu dodać: po za sztuką moją kocham piękno tylko w kobiétach... w dziewicach, i to dopiéro od niedawna...

Oparł się plecami o drzewo i ręce pod głowę podłożył.

Na chwilę obaj umilkli. Cisza południowego skwaru ciężyła nad ziemią skąpaną w promieniach słońca.

— Kiedy mówimy o kobiétach, rozpoczął znów Szubin, czemuż nie przyjdzie nikomu na myśl zamknąć Stachowa w domu poprawy? Czy nie widziałeś go w Moskwie?

— Nie.

— Starzec stracił już rozum do szczętu. Codziennie przesiaduje u swéj Augustyny Krystjanowny, nudzi się na potęgę a przecież nie odchodzi. Patrzą sobie w oczy — tak ckliwie, tak głupio... że mimowoli robi ci się niedobrze. Co się tyczy rodziny, toż o nim nie zapomniało niebo; — gdzież tam, gwałtem chce mu się jeszcze Augustyny! Nie znam nic wstrętniejszego nad tę kaczą fizjonomję. Niedawno zrobiłem z niéj karykaturę; wcale nieźle wyszła. Pokażę ci ją.

— A biust Heleny Mikołajewny, spytał Bersenjew, czy postąpił?

— Nie, bracie, nie chce postąpić. Twarz ta doprowadzić może każdego do rozpaczy. Gdy na nią patrzysz, widzisz wyłącznie proste, regularne, czyste linje; zda się, że łatwo ci będzie pochwycić podobieństwo tych rysów. Ale nie... daremnie. Czyś ty uważał jak ona słucha kiedy z nią rozmawiasz? Ani jeden rys jéj twarzy się nie poruszy, ale wyraz oczu zmienia się bezustannie i od tego wzroku twarz cała się mieni. Cóż z tém pocznie artysta, zwłaszcza też mierny artysta? Cudowna istota... dziwna istota, dodał po chwili milczenia.

— Tak, cudna dziewczyna, powtórzył Bersenjew.

— I to jest córka Mikołaja Artemjewicza Stachowa! Mówże mi tu o krwi i rasie. A nie jestże to tém ciekawsze, że obok swéj piękności tak jest dziwnie podobną do ojca i do matki. Annę Wasilewnę szanuję z całego serca, wdzięczny jéj jestem, bo mi wiele dobrego wyświadczyła — niemniéj przecież przyznać muszę, że jest najzwyklejszą gęsią! Któż więc dał Helenie tę duszę? Kto zatlił w niéj ten ogień? Otóż masz nową zagadkę, filozofie.

Ale filozof i teraz jak poprzednio nic nie odpowiedział. Wielomówność widocznie nie była achilesową piętą Bersenjewa, dziś przecież więcéj niż kiedykolwiek był milczącym; milczenie jego łatwo było wziąć za zmęczenie lub smutek. Po długiéj, mozolnéj pracy, która większą część godzin dnia mu zajmowała, przeniósł się na wieś, leżącą niezbyt daleko od miasta. Bezczynność, rozkoszne, czyste powietrze, świadomość osiągnionego celu, otwarta, niewymuszona z przyjacielem rozmowa, potrącone w niéj imię, przywołujące mu przed oczy obraz ukochanéj, wszystkie te różne a przecież podobne do siebie wrażenia spłynęły u niego w ogólne uczucie, które go uspokajało, wzruszało ale i sennym jakimś, rozmarzonym czyniło zarazem... Był to dziwnie wrażliwy młody człowiek.

Pod konarami lipy panowały chłód i cisza. Z rozkoszą oddychało się wonném tém powietrzem. W dali, na drugim brzegu rzeki, aż do niebios ciągnął się pas blasku i żaru; zrzadka prąd powietrza przeciągając, rozdzielał i urozmaicał ten pas świetlany; promienista para jakaś wznosiła się nad ziemią. Bersenjew marzył pół senny, ale fantazja jego czuwała.

— Czyś zauważył, rozpoczął nagle, jakie szczególniejsze uczucie budzi w nas przyroda? Wszystko w niéj jest tak doskonałe, tak skończone, tak jasne, proste a czyste, my patrząc na to musimy czuć radość a jednak budzi ona w nas, we mnie przynajmniéj, pewien niepokój, nieokreśloną jakąś tęsknotę, niemal smutek. Zkąd to pochodzi? Czyż przyczyna tego uczucia leży w tém, że na jéj widok, w obec niéj postawieni zdajemy sobie sprawę z naszéj własnéj niedoskonałości, że pojmujemy jak odbiegliśmy od téj czystości pierwotnéj, czy też dla tego, że to co jéj wystarcza jest zamałém aby nas zadowolnić, że jéj braknie tego, czego nam potrzeba?

— Hm, odparł Szubin, ja ci powiem zkąd to pochodzi Andrzeju Piotrowiczu. Opisałeś wrażenia człowieka, co żyje samotny, co w rzeczy saméj nie żyje ale patrzy dopiéro przed siebie i sam się w sobie zatapia. I cóż tu pomoże to gawronienie się? Rozpocznij żyć a wtedy dopiéro staniesz się zupełnym człowiekiem. Pukaj tak długo jak ci się podoba do bram natury, ona ci nic nie odpowie, bo jest niemą. Dźwięk ci wyda, jęknie jak struna, ale pieśni od niéj nie czekaj. Dusza tylko — ona wyłącznie może ci odpowiedzieć, a przedewszystkiém dusza kobiéty. I dla tego to, szlachetny mój przyjacielu, radzę ci obejrzeć się za towarzyszką serca a wszystkie tęskne wrażenia pierzchną natychmiast. To jest czego „nam potrzeba“, jak się wyraziłeś przed chwilą. Ta tęsknota, ten smutek — to głos ducha. Zajmij miejsce naznaczone ci w świata przestrzeni, stań się żyjącym członkiem wielkiego koła społeczności, mój drogi. Cóż ci pomoże „natura?“ Posłuchaj słowa: miłość... cóż to za potężne, co za palące słowo! Natura... jakże to zimne, szkólne wyrażenie! I dla tego to — Szubin wymówił te słowa w zamyśleniu — niech żyje Marja Piotrówna; wreszcie inna, — to wszystko jedno! Vous me comprenez!

Bersenjew podniósł się nieco i brodę oparł na ręce.

— Po co ten żart? odparł nie patrząc na towarzysza. Masz słuszność; miłość... jest wielkiém słowem, wielkiém uczuciem... ale o jakiéjż mówisz miłości?

Szubin podniósł się również.

— O jakiéj miłości? O jakiéj ci się podoba, musi ona jednak istnieć przedewszystkiém. Prawdę mówiąc, wedle mnie, nie ma różnych rodzajów miłości. Jeśli kochasz prawdziwie...

— Z całéj duszy, wrzucił Bersenjew.

— No tak, to się samo przez się rozumie: dusza nie jest jabłkiem; nie można jéj rozłożyć na cząstki. Jeśli więc kochasz, masz tém samém słuszność. Ale żartować nie chciałem. Serce moje jest teraz tak tkliwie, tak rzewnie nastrojone... Chciałem ci tylko wyjaśnić dla czego natura, jak to mówiłeś, tak na nas oddziaływa. Budzi ona w nas potrzebę miłości, śpiącą na dnie serca a nie jest w stanie jéj zaspokoić. Łagodnie ale stanowczo popycha nas ona w inny uścisk żyjący a my jéj nie poznajemy i wyczekujemy od niéj saméj czegoś niezwykłego. Ah, Andrzeju, Andrzeju, pięknem jest to słońce, to niebo, wszystko, wszystko w około nas jest tak wspaniale pięknem a ty się smucisz przecież; gdybyś jednak w téj chwili w dłoni twéj trzymał dłoń ukochanéj kobiéty, gdyby ręka ta, gdyby ona sama była twoją i gdybyś jeszcze obok tego patrzał jéj oczyma, gdybyś czuł nie twém samotném ale jéj uczuciem... o Andrzeju, nie smutek, nie tęsknotę budziłaby w tobie wtedy natura i dla jéj piękności nie miałbyś też wtedy oczu; ona sama wtenczas radowałaby się i do twego hymnu łączyłaby śpiew swój, bo ty byś jéj — niemej — użyczył języka.

Szubin porwał się i przeszedł kilkakrotnie tam i napowrót, Bersenjew spuścił głowę, twarz mu lekki oblał rumieniec.

— Nie we wszystkiém zgadzam się z tobą, rozpoczął, niezawsze przyroda wskazuje nam... miłość. (Słowo to niełatwo wyszło z ust jego). Częstokroć grozi nam ona, ostrzega nas przed strasznemi... przed niezgłębionemi tajemnicami. Czyż nie ona nas pochłonie, czyż nas nie pochłania bezustannie? W niéj jest życie i śmierć; z niéj zarówno śmierć jak życie przemawia.

— I w miłości również jest śmierć i życie, przerwał mu Szubin.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z podróży w Tatry

Walerego Eljasza.

(Dokończenie).

Żegiestów.

Minąwszy Muszynę co dopiéro opisaną, dostaliśmy się w dolinę Popradu, który tu tocząc się z szumem po złomach kamieni uwodzi wody z źródeł najwyższych szczytów gór Sarmackich na podziw geologów, bo wypływając z południowéj strony Tatrów, nie zdąża jednak wygodnie wprost ku Dunajowi, lecz skręca się na wschód, opuszcza południowe stoki Karpat i wśród wyniosłego pasma gór przedziera się jakby umyślnie dla połączenia się z równie dzikiém dzieckiem tatrzańskiém, z Dunajcem, w dolinie między Nowym a Starym Sączem.

Droga z Muszyny do Żegiestowa ciągle się trzyma prawego brzegu Popradu, to dotykając nurtów jego spienionych, to wznosząc się na zbocza gór koryto jego ścieśniających. Pierwszą w pół mili spotkaną osadą jest Milik, w poprzecznéj do Popradu dolinie rozłożony nad potokiem. Wspomniany już jest około r. 1246 w testamencie Piotra Wydżgi, szlachcica polskiego, co to został

Krzyżakiem; dopiéro jednak r. 1575 biskup krakowski Franciszek Krasiński nadał sołtysom z sąsiedniéj Andrzejówki sołtystwo w Miliku i tutejszy kościół uposażył [1]). Ćwierć mili daléj jest wieś Andrzejówka, rozsiadła w dolinie nad potokiem Czarnym lub Skalikiem zwanym, wypływającym z pod góry téj saméj nazwy (Skalik 2,428'). Osada ta ruska z cerkiewką istniała już r. 1352 i należała do dóbr królewskich, w niéj na dziedziczne sołectwo otrzymał przywiléj od króla niejaki Matyjasz Michał [2]). Przy drodze stoi tu murowany piętrowy dom, obecnie pusty; mieścił się w nim urząd celny austrjacki, gdy granicy od Węgier strzeżono dla przemytnictwa. Odtąd droga się spina w górę, z grzbietu widok na okoliczne góry lesiste po obu brzegach Popradu, ale Żegiestowa ani dostrzedz ani się go domyślić nie można. Zapytany nasz furman Petryk, kiedy nam się Żegiestów ukaże, wskazał nam krzyż widny na szczycie góry i odrzekł, że jak ten krzyż na około objedziemy, Żegiestów się znajdzie. Tymczasem zrobiło się pochmurno, powstał wicher silny z deszczem, który, zdawało się, że nas w przepaść z drogi zrzuci. Z grzbietu góry ujrzeliśmy z przeciwnéj strony Popradu wieś już węgierską Lipnik i skręciwszy na prawo wjechaliśmy w prześliczną, prawdziwie romantyczną okolicę.

Droga ta, znać trudem i znacznym kosztem zdobyta, miejscami podmurowana, to znów wysypana, owdzie w skale wyłamana, wije się wśród czarownego szpaleru drzew dzikich jakby w fantazji wymarzonego parku. Raz się skręca w lewo, raz w prawo, czasem odsłaniając widok na wesołością tchnące brzegi Popradu, który się gdzieś w głębi pod stopami toczy z szumem. Jakby dla większego olśnienia oka naszego ustroniem leśném, słońce chylące się ku zachodowi wyjrzało z pośród chmur i żywością barw swoich promieni ozłociło wierzchołki drzew i szczyty gór, które się już stopami w sinéj mglistéj pomroce nurzały. W oddaleniu mignął się nam na wzgórzu jakiś ślad zabudowań ludzkich, co jak się późniéj pokazało, były altaną żegiestowską, postawioną na przecięciu się chodników tamtejszych. W końcu stanął nasz Petryk na mostku, zkąd już ujrzeliśmy domy zakładowe, i zwiastował przybycie do zamierzonego celu.

Po odszukaniu właściciela zakładu, nim urządziliśmy się z mieszkaniem, noc zapadła, a każdy spragniony spoczynku po trudach podróży rad był, że się znalazł u jéj celu. Nazajutrz rano dopiéro mieliśmy sposobność rozpatrzeć się po Żegiestowie, zasięgnąć wiadomości o stósunkach miejscowych, zapłacić wstępne od osoby 3 guld. i zdążyć na obiad do sali restauracyjnéj w starym domu obok zdroju. Trzeba jeszcze dodać, że nie obeszło się rano bez powitania pode drzwiami pokoju przez grono muzykusów cygańskich, którzy nam i w czasie obiadu przygrywali z ganku za pobieraniem należytości w sposób dziadowski. Po przegraniu jednego lub dwóch kawałków obchodził jeden z tych brunatnych wirtuozów z talerzem w ręku gości siedzących około stołów i zbierał dobrowolne datki; swoją zaś drogą co tydzień z nakazu właściciela zakładu obchodził łazienny z książką po mieszkaniach wszystkich gości dla ściągnięcia z każdego numeru 1 guld. podatku na utrzymanie muzyki. W innych kąpielach płaci się taksy 2 guld. wraz z 3 guld. wstępnego na utrzymanie muzyki przez cały czas pobytu w zakładzie i ma się już spokój od codziennych składek.

Żegiestów [3]), zdrojowisko, z całym swoim zakładem rozsiadło się w dolince wązkiéj, otoczonéj zewsząd górami: z północy Skalnym Zdziarem (2,488'), od zachodu Czerszlą a od wschodu Kiczerą (2,438'), środkiem toczy się Szczawny potok. Wąwóz cały jest spadzisty, że o kawałek poziomego gruntu niezmiernie trudno; zdroje mineralne tryskają na wysokości 1,450' [4]) a powierzchnia Popradu przy ujściu potoku Szczawnego wznosi się na 1,340'; głębokość wąwozu nie liczy więcéj nad 900 kroków, zatém na tak małéj przestrzeni 110' spadek jest znaczny. Dla tego pod budynki musiano zdobywać miejsce łamiąc zbocze góry i ztąd od strony chodników wchodzi się do domów wprost na pierwsze piętro. Tylko na południowy zachód roztwiera się wąwóz żegiestowski ku Popradowi i to jego tak zasłonięte położenie ma być powodem łagodnego tutaj klimatu, chociaż w roku przeszłym porządne zimno wkradało się do mieszkań pomimo tak korzystnych warunków przeciw zmianom nagłym powietrza, a wicher górski co się zowie, hulał sobie po Żegiestowie, jakby na około ani Kiczery, ani Czerszli nie było.

Właściwy Żegiestów, to jest wieś z swoją cerkwią, leży w następnéj ku zachodowi dolinie po za Skalnym Zdziarem po nad potokiem, co wypływa z góry Pustéj Wielkiéj (3,342') i gubi się zaraz w Popradzie. Założycielem osady jest Hawryło Juraszek, poddany biskupi ze wsi Andrzejówki, któremu Franciszek Krasiński, biskup krakowski, przywilejem wydanym w Krakowie dnia 26 lipca 1575, pozwolił osadzić mieszkańców na pustém polu zdawna zwaném Długim Łękiem [5]). Należał więc Żegiestów do biskupczyzny i wraz z nią przy rozbiorze Polski przeszedł na własność rządu i należy dziś do dóbr kameralnych klucza muszyńskiego. Górale tutejsi są obrządku unickiego, cerkiew mają pod tytułem św. Michała; ubiór ich: u mężczyzn na głowach kapelusze czarne z wielkiemi wywijanemi brzegami, gunie bronzowe lub białe, kamizele granatowe z guzikami świecącemi, spodnie sukienne białe obcisłe a na stopach kierpce; kobiéty zaś noszą na głowach czarne czepce z przewiązaną aksamitką czarną przez czoło, a na to przychodzi chustka, na piersiach gorsety, rękawy u koszuli obszerne, krótkie, obwiązane w środku ręki między łokciem a ramieniem, spódnice czarne, krótkie ale obszerne, na stopach trzewiki i pończochy. Fizjognomje ludu okolicznego nieprzyjemne, kobiéty nawet, powiedziałbym, brzydkie.

Zdrojowisko żegiestowskie tworzy odrębną zupełnie od wsi osadę, zuludnioną jedynie w lecie. Szczyty gór ją otaczających użyczają wspaniałego widoku na okolice; z chodników zaś spacerowych koło altany jedynie zachwycać się można Popradem, który tu na prost zdrojowiska krętem korytem się toczy w kształcie litery S, przez co powstały dwa półwyspy zwane Łopatami.

W tak utajoném i oddaloném a uroczém od gwarliwego świata ustroniu w r. 1846 obywatel z Muszyny p. Ignacy Medwecki poszukując rudy żelaznéj, dostrzegł w Szczawnym potoku osad rdzawy i wydobywającą się wodę bełkocącą, co go na myśl naprowadziło, że w tém miejscu tryska źródło wody niezwykłéj; nabył tedy od włościanina właściciela ten kawał gruntu, na którym źródło owe biło, i odprowadziwszy od niego nieco daléj strumyk, pozyskał zdrój wody leczniczéj żelazistéj [6]). Źródło to pan Medwecki nazwał zdrojem Anny. Obok niego od dawna tryskało źródło szczawno-żelaziste, którego wodą leczyli się okoliczni mieszkańcy, więc i to ujął nowy właściciel w kadłub drewniany i nazwał zdrojem Marji. Wreszcie przy rozkopywaniu ziemi między temi dwoma źródłami

[1]) Cerkwie i osady ruskie w sandeckiém. J. Łepkowski.

[2]) Encyklopedja do krajoznawstwa Galicji; p. Antoni Schneider. Lwów, 1868.

[3]) Pisze się Żegiestów a nie Rzegiestów, jak chcą niektórzy, bo mowa ludu jest tego wskazówką; tam, gdzie ma się pisać rz, włościanie wymawiają samo r, n. p. Andrejówka zamiast Andrzejówka.

[4]) Rozbiór chemiczny wody lekarskiéj żegiestowskiéj przez Alex. Alexandrowicza w Rocz. Tow. Nauk. Krak. z r. 1870

[5]) Tamże.

[6]) Zdroje lekarskie w Żegiestowie opisał dr. Fr. Z Gogojewicz.

pokazało się trzecie źródło, które równie ujęte w kadłub zyskało imię zdroju Antoniny, na wysokości 1450 stóp [7]).

Trzy te źródła nakryte drewnianą szopą stały się zawiązkiem nowych wód mineralnych na ziemi polskiéj. Właściciel ich wystawił zaraz kilka domków gościnnych, łazienki i odtąd chorzy poczęli szukać pomocy dla swego zdrowia u żegiestowskich zdrojów. Pierwszego ich rozbioru chemicznego dopełnił Karól Mohr, profesor chemji przy instytucie technicznym w Krakowie i ogłosił drukiem r. 1848.

Zdrój jednak Antoniny w kilkanaście lat zasypano [8]), bo się pokazało, że jest tylko częścią źródła sąsiedniego. Z postępem rozgłosu o sile wód żegiestowskich wzmagała się ilość przybywających na miejsce gości i rozkup wody we flaszkach rozsyłanéj; i tak w r. 1860 bawiło w Żegiestowie osób 113 używających kuracji, a 13,080 flaszek wody się rozeszło po świecie [9]). W tych czasach liczba spotrzebowanych butelek wody tutejszéj sięga przeszło 26 tysięcy.

W r. 1866 właściciel zakładu wezwał p. Alex. Alexandrowicza dla właściwego urządzenia zdrojów i dokonania chemicznego ich rozbioru. Przy dokładném badaniu obudwóch zdrojów Anny i Marji odkrył p. Alexandrowicz, że są to dwa upływy z jednego pochodzące źródła. Kopiąc głębiéj koło źródła Anny, po wybraniu okruchów skały dostano się do twardszego piaskowca a gdy się niżéj jeszcze o 3 stopy zagłębiono w źródle Anny, woda z źródła Marji znikła a z łona skały poczęła wybuchać woda z gazami, kłębując mocno, jakby się gotowała.

Po zabezpieczeniu tak zjednoczonego źródła od dopływów obcéj wody, zdrój mineralny okazał się silniejszym tak co do ilości jak i pierwiastków mineralnych [10]). Wówczas ujęto całe źródlisko w granitową cembrzynę.

Następnego roku (1867) przy rozkopywaniu ziemi na około cembrzyny dla urządzenia schodków, ułatwiających przystęp do źródła znacznie zagłębionego, poczęła się od północnéj strony wydobywać wielka ilość gazów a następnie wytrysło źródło nowe, obfite, z temi samemi własnościami, co zdrój ocembrowany. Gdy na dalszéj przestrzeni jeszcze się gwałtownie wydobywały gazy, wtedy z polecenia p. Alexandrowicza, znowu tam w październiku przybyłego, wybrano ziemię w tém miejscu, wyrąbano skałę w szerz i w dłuż, jak daleko pojawiały się źródła, i tym sposobem na przestrzeni długiéj 9 stóp a szerokiéj koło 5 stóp utworzyło się ogromne wyborne źródlisko, które ujęto w oprawę kamienną z piaskowca na cemencie osadzoną, z góry ubito iłem na kilka stóp grubości i z tak szczelnego zbiornika woda dostaje się do głównego zdroju otworem wykutym w granitowéj cembrzynie. Odchodząca woda spływa do drugiego zbiornika 47 stóp długiego, 6 stóp szerokiego a 3 stopy głębokiego, poniżéj w odległości 64 kroków wybranego w ziemi, zkąd się ją czerpie na kąpiele do łazienek. Przy grzaniu wody żegiestowskiéj trzeba uważać, aby ciepło nie przeszło 40° Rm., bo wtedy już następuje rozkład chemiczny. Przez dobę zdrój tutejszy dostarcza wody 25,200 kwart polskich (na minutę 17½ kwarty). Ciepło jéj w źródle zawsze jest jednakie — 7^{36} st. Rm. [11]). Naczerpana do szklannego naczynia białego ma czystość kryształową, pieni się i burzy mocno, a w kilka sekund boki naczynia okrywają się bańkami gazowemi. Przy dłuższém jéj zostawieniu w naczyniu tworzy się osad czerwonawy. Smak wody żegiestowskiéj jest wyborny, nader przyjemny, orzeźwiający, żelazisty i apetyt mocno podbudzający, dla tego pije ją każdy z ochotą, zdrowy czy chory jako miły napój, a na miejscu przy zdroju używają jéj goście nietylko w godzinach kuracyjnych, lecz tak przy stole jak kiedyindziéj zamiast zwyczajnéj wody do picia.

Rozwodzić się nad zaletami powietrza w Żegiestowie byłoby rzeczą zbyteczną; położenie, okolica cała odosobniona od wszelkich osad ludzkich oddziaływać musi jak najkorzystniéj na utrzymanie lub wzmocnienie zdrowia. Miejsca do przechadzek bliższych i dalszych nie braknie, chodniki jednak wycięte w zboczu góry Czerszli o tyle są wadliwe, że mają mało poziomu, lecz pną się w górę lub na dół, co dla osób słabych jest rzeczą męczącą. Na przecięciu się dróżek u grzbietu po nad Popradem stoi altana, gdzie miło podumać przy szumie uchodzącego z łoskotem strumienia.

Mieszkań liczba stósunkowo do liczby zjeżdżających się w tych czasach do Żegiestowa gości jest dostateczna, chociaż budynków w całém zdrojowisku nie doliczy się więcéj jak 12, a właściwie tylko trzy domy mają postać godną swego przeznaczenia, to jest najbliższy Popradu dom parterowy zwany Karolówką, daléj wyżéj piętrowy zwany Alojzówką i jeszcze jeden znowu wyżéj Nowy, dom w ozdoby zewnętrzne najwięcéj przystrojony. Ceny mieszkań, muszę przyznać z tego, com sam płacił, są tu bardzo drogie, skoro 1 guld. dziennie przypada za maleńki pokoik z kawałkiem wspólnego ganku, z widokiem zaćmionym drzewami, bez pościeli, posługi i światła, z ordynarnemi meblami.

Życie zakładu jednoczy się koło zdroju, gdzie obok w domu starym mieści się restauracja a opodal łazienki dwojakiego gatunku, z drewnianemi i metalowemi wannami. Za kąpiel w metalowéj wannie płaci się 35 cent., w drewnianéj 25 cent.; lecz bez drewnianych wanien mógłby się Żegiestów obyć, bo na widok tego tańszego rodzaju łazienek odchodzi chęć do kąpieli, tak są odrażające. Szopa zacieniająca zdrój tak jest także nędzna, że z powierzchowności trudno przypuścić, aby się pod jéj dachem tak wielki skarb natury mieścił; a jeszcze w niéj znajduje się niby kaplica, raczéj ołtarzyk drzwiami zamykany, które się otwierają na czas nabożeństwa.

Jest w Żegiestowie pyszna i ożywcza woda, bardzo zdrowe powietrze, mieszkanie, chociażby drogie, poczta listowa i pakunkowa, bardzo uprzejmy właściciel i gospodarz, miłe chociaż nieliczne towarzystwo, lekarz zdrojowy, ale cóż, kiedy z wyżywieniem rozochoconego wodą żegiestowską żołądka wielka tu bieda. Musiało być tutaj inaczéj w tym względzie po inne lata jak roku przeszłego, bo gdyby gościom częściéj przyszło mieć do czynienia z takim restauratorem jak r. 1871, jużby się nikt więcéj nie odważył jechać do Żegiestowa, zważywszy, że w takiém pustkowiu, dalekiém od stałych siedzib ludzi, każdy z gości zdrojowych zostaje na łasce restauratora. Dla małéj ilości osób nie miałoby ich tu dwóch co robić, więc jeden restaurator, bez rywala, robi co mu się podoba; można sobie więc wyobrazić położenie gości, zwłaszcza słabych, narażonych jeszcze na grubijaństwa kuchmistrza, na które lekarstwa nie było, bo skargi na niego do właściciela zakładu zanoszone nie odnosiły żadnego skutku. Tamę takiéj samowoli może tylko położyć zniesienie monopolu traktyjernika, aby handel materjałami do żywienia spoczywał w innych rękach, aby pieczywa świeżego było zawsze podostatkiem, aby nabiału, wędlin, legumin i t. p. rzeczy zawsze po cenach umiarkowanych dostać można na miejscu. Przecież Zakopane, wieś u stóp Tatrów bez zdrojów mineralnych, własnemu przemysłowi żydów i włościan zostawiona, posiada w porze letniéj dobrą i niedrogą restaurację, kilka składów z wszelkiemi przedmiotami, jakie po naszych miasteczkach handel korzenny zwykle zawiera, ma kilka

[7]) Rozbiór chemiczny wody żegiestowskiej. Alex. Alexandrowicz.

[8]) W r. 1858 opisuje je dr. Dietl w „Uwagach nad zdrojowiskami krajowemi.“

[9]) Zdroje lekarskie w Żegiestowie. Dr. Fr. Z. Gogojewicz.

[10]) Rozb. chem. wody żegiestowskiéj. Alexandrowicz.

[11]) Tamże.

piekarń i corocznie powstają nowe domy dla gości, przez górali budowane.

Życie w Żegiestowie schodzi bardzo cicho, swobodnie i to właśnie ma powab dla ludzi stroniących od zgiełku i wymogów modnego świata, niezbędnych po ludnych zdrojowiskach; dla tego téż ludzie szukający zabawy i interesów przybywają tylko czasem gromadnie z Krynicy do Żegiestowa dla jego obejrzenia a po wieczorze tańcującym napowrót co tchu umykają.

W święta i niedziele zaludnia się zdrojowisko żegiestowskie wiejskim ludem, który tu wtedy przybywa dla obejrzenia gości jak rarogów.

Oprócz kąpieli w łazienkach w wodzie mineralnéj używają goście kąpieli popradowych, które z powodu silnego prądu mają skutek leczniczy, podobny kąpielom morskim. W tym celu przy ujściu potoku Szczawnego po nad samym brzegiem stoi budka dla rozbierania się, lecz gdy dno Popradu głazami jest zasłane, nie ma swobody w takiéj kąpieli, trzeba stać w jedném miejscu, trzymając się jakiego sterczącego złomu.

Skała nadbrzeżna, u stóp któréj właśnie stoi budka dla kąpiących się w Popradzie, zowie się Krzyż, według podania, że jakiś tędy w dawnych czasach przechodzący pustelnik zachwycony pięknością okolicy i wijącego się tu Popradu, ułożył z kamieni krzyż, a ponieważ była właśnie niedziela, odprawił na tém miejscu nabożeństwo i nauczał lud zgromadzony [12]).

Co do powzięcia wiadomości o składzie chemicznym wody mineralnéj żegiestowskiéj, jako téż o przymiotach jéj leczniczych, o gatunkach chorób, jakich się ludzie pozbywają z pomocą zdroju tutejszego, odsyłam ciekawych do specjalnych w tym względzie rozpraw Al. Alexandrowicza, dr. J. Dietla, dr. F. Z. Gogojewicza, dr. F. S. Skobla, dr. Wł. Ściborowskiego, drukowanych w Rocznikach Tow. Nauk. Krakow. lub wydawanych jako osobne dziełka.

---

[12]) **Sądecczyzna. Morawski. Tom I, str. 35**

Wystawa wiedeńska.

VII.

Opuszczając galerje niemieckie pałacu sztuk pięknych niepodobna nam choćby dodatkowo nie wspomnieć o rodzaju malarstwa, który skromny na pozór, jest dla sentymentalnych synów Germanji ulubioném polem popisu, a na którém uwydatnia się najgłówniejsza zaleta Niemców, t. j. ich mistrzostwo w charakterystyce, w odgadywaniu wewnętrznego stanu duszy z pewnym zakrojem humorystyki niewinnéj raczéj, niż złośliwéj i szczypiącéj. Przypatrując się takim obrazom jak „Śpiewacy w karczmie", „Koń nagrodzony" monachijskiego malarza Deffregera, niemniéj „Narada chłopów hauensteinskich" Krausa, mimowoli przypomnieliśmy sobie starych niderlandskich mistrzów, u których strona idealna przeważa nad innemi zaletami kompozycji obudzając chcąc nie chcąc w widzu wiarę w szlachetne pierwiastki natury ludzkiéj. Obok wspomnianych co dopiéro malarzy celuje w genrach przedewszystkiém Kurzbauer, a obok niego Grützner, Keller, Kronberg, Seitz, z których dwaj pierwsi odszkicowali z strony wesołéj cały szereg scen klasztornych.

Nie brak Niemcom również malarzy, których głównem zadaniem oddawanie typów zwierzęcych. Na czele zastępu artystów poświęcających się zgłębianiu natury świata zwierzęcego, postawić należy Arnolda, Brunona Adama, Deffregera, Müllera, Steffeka, Brendla (trzéj ostatni z Berlina), Gabelera i Braitha (monachijczyków), a w końcu Malego, Hofnera, Volza i Schleicha. Niemcy w ogóle wystawiły 1017 obrazów i rzeźb, przeto niemal tyle, co obie połowy monarchji Habsburgów (Austrja 851, Węgry blisko 160).

Z galerjami niemieckiemi stykają się sale francuzkie, belgijskie i niderlandzkie. Słów kilka o dwóch ostatnich. Mała Belgja wystawiła kilkaset cacek, między któremi niebrak dzieł znakomitéj treści, utworów potężnego talentu. Tyle ceniony nietylko w saméj Belgji lecz i po za jéj granicami Slirgemeyer wystawił obraz „Carthago", który mniéj obrachowany na efekt, zdumiewa śmiałością pędzla i jędrnością kolorytu. Nieporównanéj piękności obrazki rodzajowe Stevensa, Wapperna, de Keysera, Aqua, Smitsa i wielu innych zapewniają Belgji nieposlednie miejsce w dziedzinie sztuk pięknych. Ozdobą atoli galerji belgijskich jest Antoni Wiertz, znany nam już z sali honorowéj, gdzie tak niefortunnie się przedstawił swém olbrzymiém płotném „Strącenie aniołów." Przypatrując się ślicznéj kolekcji obrazów zgasłego już mistrza, mimowoli poczęliśmy przychylać się do zdania tych, co oceniając Wiertza powiedzieli, że tenże „rysuje jak Michał Anioł, a maluje jak Rubens."

W galerji belgijskiéj znalazł przytułek gościnny obraz jednego z polskich malarzy. Mówimy tu o wielkiém płótnie profesora Jaroczyńskiego z Poznania, przedstawiającém „Traktat toruński."

Jakaż to szkoda, że obraz p. Jaroczyńskiego zawieszonym został w miejscu niemal najniekorzystniejszém na całéj wystawie sztuk pięknych, w salce pobocznéj, pozbawionéj światła, gdzie rzadko tylko ktoś zaplącze się ciekawy; tuszymy sobie bowiem, że gdyby p. J. nie był spóźnił się z swojém płótném i zdobył dlań kącik w jednéj z sal głównych, „Traktat toruński" byłby niezawodnie zwrócił na siebie uwagę znawców i dodał nowego blasku malarstwu polskiemu. Tymczasem stało się inaczéj, a artysta nasz musi się pocieszyć nadzieją, że choć dzieło jego nie uwieńczono wawrzynem, nie minie go ze strony ziomków zasłużone uznanie, będące dlań bodźcem do dalszéj wytrwałéj pracy na drodze, na któréj przoduje Matejko.

Artysta w obrazie, o którym mowa, wybrał chwilę dziejową, chwilę wiekopomnéj pamięci, w któréj Polska zwycięzka, jak mówi jeden z naszych najznakomitszych pisarzy, zgniotłszy nieprzyjaciela, zmusiwszy go poklęknąć przed jéj majestatem, ze zwykłą sobie wspaniałością z tryumfu korzystać nie chciała. Potęga tego zakonu, co wyrósł i spasł się na polskiéj ziemi i wpił się kleszczem w jéj ciało, została złamaną. Kaźmierz Jagiellończyk żebrzących łaski i miłosierdzia rycerzy zamiast zniszczyć i wygnać, przypuścił do lennictwa Rzpltéj, zawarł pokój, którego warunki podyktował, a wreszcie obdarzył ich jeszcze!! Wiemy, że naówczas na giełdzie w Toruniu mistrz Erlichshausen w zszarzaném odzieniu jak nędzarz padł na kolana przed królem, który go podniósł i uściskał. Na pierwszym planie widzimy zgraję

Krzyżaków, złamaną, bezsilną, którą konieczność twarda zniewala do podpisania traktatu czyniącego ich lennikami Polski zwycięzkiéj. Na czele tego zastępu krzyżowych rycerzy stoi mistrz Erlichshausen, postać dumna, z wyrazem ukrytéj zawiści i żądzą niepohamowaną zemsty. Patrząc na oblicze owego Krzyżaka, mimowoli przeczuwasz ów zdradny cios, jaki przy pierwszéj zada sposobności Polsce przebaczającéj mu urazy i pragnącéj żyć z nim w pokoju. Postać to, będąca inkarnacją zdrady, złości a przytém zuchwalstwa, owych głównych cnót pruskiego zakonu!! Z drugiéj strony jaśnieje Polska w całéj swéj potędze, Polska w osobie króla Kaźmierza Jagiellończyka i licznego pocztu senatorów, rycerstwa, dygnitarzy tak świeckich jak i duchownych. Mistrz trzyma pióro w ręce, aby na podanym mu pergaminie podpisać akt uległości i stać się na zawsze lennikiem Polski. Chwila ta, schwycona znakomicie, potężne robi wrażenie. Pojedyncze postacie tchną życiem, uderzają charakterystyką, naturalnością i nieprzesadnym stylem. Całości jednakże brak wykończenia i około tego to braku grupują się główne zarzuty czynione obrazowi pana J.

Holandja poszła drogą przekazanych jéj tradycji i obwiesiła ściany przeznaczonych dla siebie sal krajobrazami zimowemi, staremi domami, wiatrakami, kościołami i scenami z życia rodzinnego. Wielkie pochwały zyskały sobie dwa obrazy Heemskerek van Beesta z Haagi, z których jeden przedstawia „Widok kanału la Manche", drugi „Mglisty poranek październikowy."

We Włoszech, ojczyznie sztuk pięknych, nieludno. O ile Włosi górują w rzeźbie nad wszystkiemi narodami, o tyle w malarstwie zapomnieli zupełnie o wielkiéj swéj przeszłości i występują dziś jako naśladowcy niemieckich, francuzkich lub belgijskich mistrzów. Oddział włoski tém bardziéj wydaje nam się ubogim, ile że prześliczne rzeźby medjolańskich artystów niemal wszystkie pomieszczono w rotundzie pałacu wystawy i tym sposobem pozbawiono galerję włoską najpiękniejszéj a może jedynéj jéj ozdoby. Z rzeźb będących własnością Italji na pierwsze bezwątpienia miejsce zasługują utwory Piotra Guarnerio, Donata Bareaglia, Antoniego Piatti, Hugona Zennoniego, Karola Pessina, z których każdy po kilka nadesłał rzeźb z mistrzowską oddanych prawdą.

W mniéj ponętném jeszcze świetle przedstawia się malarstwo hiszpańskie, w którém ani śladu, że powstało ono na ziemi, co wydała Murilla, Ribera, Valasqueza... Hiszpanja szarpana bezustannemi wojnami domowemi, nie ma widocznie czasu zajmować się podobnemi drobnostkami jak sztuki piękne.

Przechodząc do krajów północnych przejdziemy przez galerje szwedzkie i norwegskie, gdzie masa polowań, okolic śnieżystych, ślizgawek, aby na chwilę zatrzymać się w sali przeznaczonéj dla Rosji.

Wystawę rosyjską pomieszczono w bocznym pawilonie. Zwiedzający galerje rosyjskie wprawdzie nie zbuduje się tém co tu spotka, w każdym jednakże razie przyznać musi, że galerje te choć nieobfitujące w artystów znakomitych i dzieła pomnikowéj sławy, mają pewne zalety. Widoczném jest, że malarstwo rosyjskie rozwija się dopiéro i dla tego to główną jego cechą jest naśladownictwo, z pominięciem nieraz wszelkiéj samoistności. Wzory włoskie wszędzie i ciągle uderzają zwiedzającego galerję rosyjską, który pytać się musi ze zdumieniem, zkąd tutaj tyle Wezuwiuszów, tyle scen z życia włoskiego, a mało tylko z życia rodzinnego, z dziejów Rosji.

Z malarzy warszawskich wzięli udział jedynié: Gerson, Müller i Świeszewski. Pierwszy wystawił dwa płótna t. j. „Kiejstuta i Witolda w niewoli u Jagiełły" i „Sobieskiego w Wilanowie" i ten to ostatni obraz zwraca na siebie powszechną uwagę nie tyle swą kompozycją, która wydaje nam się nieco za sztywną, co nader sympatycznym układem i poprawnym rysunkiem. Müllera „Stanisław August przyjmujący artystów" nie jest może bez zalet, lecz nie pozostawia po sobie głębszego wrażenia. Świeszewskiego w końcu krajobraz: „Jezioro Nemi" oceniła akademja petersburgska, przyznając artyście medal.

Nim przystąpimy do galerji francuzkich, najbogatszych na wystawie powszechnéj, powiemy jeszcze słów kilka o polskich rzeźbiarzach.

O ile w ogóle rzeźbiarstwo w Polsce nie doszło jeszcze do tego rozwoju, na jakim stanęło już dzisiaj malarstwo, o tyle dział rzeźb podrzędne tylko na wystawie zajmuje miejsce i nie może rywalizować z utworami sztuki plastycznéj włoskiéj, francuzkiéj a nawet niemieckiéj. Na wystawę wiedeńską czterech tylko polskich artystów nadesłało swe prace, a zwłaszcza Gadomski, Lipiński, Hoszowski i Trembecki. Pierwsze między tymi miejsce należy się bezwątpienia Waleremu Gadomskiemu, który nadesłał posąg z białego marmuru, przedstawiający „Mikołaja Kopernika." Wielki mistrz astronomji przedstawionym jest w postawie siedzącéj; oczy jego wzniesione w niebo, lewa ręka wsparta na globie, prawa dzierży książkę. U nóg spoczywa cyrkiel, mapa nieba, książka rozwarta i gałązka wawrzynu. Układ cały pełen jest artystycznego nastroju i głębokiego pojęcia. Twarz mistrza nacechowana spokojem właściwym potężnym genjuszom, podobna jest do znanych wizerunków wielkiego astronoma. Rzeźba ta powszechne zyskuje sobie uznanie i pochwały znawców i artystów.

Lipińskiego „Opuszczona" godnie rywalizuje z tego rodzaju rzeźbami, wyobrażającemi kierunek realistyczny, uprawiany z takiém zamiłowaniem przez włoskich artystów. Posąg gipsowy „Opuszczona" przedstawia naturalnych niemal rozmiarów młodą dziewczynę, opartą o kolumnę i tonącą w zamyśleniu. Zalety pracy pana St. Lipińskiego musiały być widoczne, skoro przysięgli zaszczycili ją medalem.

Trembecki wystawił kilka grup: „Wiesława i Halinę", „Górali", i „Dziewczynę puszczającą wianki na wodę." Grupy te posiadają wiele niezaprzeczonego wdzięku i tyle są cenniejsze, że wzięte żywcem z życia ludu naszego, odzwierciedlają nam obok typowych postaci ubiór malowniczy górali i Krakowiaków, tak ślicznie się nadający do posągów. Układowi wyżéj wymienionych grup trudno cośkolwiek zarzucić, owszém pod względem poprawności rysunku Trembecki celujące zajmuje miejsce.

W końcu Hoszowski Celestyn ze Lwowa przysłał na wystawę marmurowe popiersie namiestnika Galicji, hr. Gołuchowskiego.

PRZEGLĄD LITERACKI.

List Ignacego Domejki i Wspomnienie o Tomaszu Zanie.

(Dokończenie).

Dniami świątecznemi były te, w których odbierał listy od przyjaciół, a uroczystemi, kiedy go doszedł jaki świéżo wydrukowany utwór Adama. Od czasu do czasu nadchodziły mu nowsze dzieła polskie, przyjaciele pozostali w kraju i spółwygnańcy dzielili się z nim każdą nowością literacką, o ile tylko mogli. Listy jego zawierają wiele uwag, mianowicie nad pracami przyjaciół, dla których bywał surowym sędzią.

W zamian przesyłał im opisy okolic, w których przebywał; zimę z upudrowanemi srebrem drzewami, z jeziorami błyszczącemi taflami zwierciadeł; lato pełne bogatéj roślinności, rojących się owadów i świegotu obcego mu ptastwa.

Listy Zana z wygnania pisane do rozmaitych osób, najwięcéj do Marji z Wereszczaków Putkamerowéj (Maryli Mickiewicza).

Po kilku latach umarł Piotruś Ciołkowski, Zan zaczął się starać o miejsce mniéj zależne, potrzeba było czekać a niedostatek dociskał. Pisze w liście:

„Bez pieniędzy i przyjaciół, bez chleba i pobudek, bez książek i nadziei, trudy i zmordowanie nasze wielkie a skutki puste.“

Pani Putkamerowa pod delikatnemi pozorami, jakoby na poczet przyszłéj sprzedaży prac jego nadesłała mu fundusze, któremi co spieszniéj zaopatrywał innych spółwygnańców.

Po jedenastu latach wygnania w dowód łaski ze strony rządu przydzielono go do wyprawy naukowéj w obręb gór między Uralem i Tobolem. Płaca musiała być szczupła, skoro sprzedał zbiorek swój minerałów, zebranych w wycieczkach w okolice Orenburga, za 2,500 rubli asygnacyjnych, aby mieć na potrzeby w podróży. Owocem téj wyprawy było wykrycie żył złota, odniesione z postrzeżeń Zana, co mu zjednało poważanie wśród Moskali. Dla siebie zbierał notaty z geognozji, botaniki, natury wód mineralnych, języka ludów, z czego ułożył memorjał na pożytek rządowy. Praca ta zjednała mu względy gubernatora Permskiego, który obiecał mu rządową korzystną posadę a nawet zrobił nadzieję powrotu do kraju.

Należał do podobnych naukowych wypraw w coraz inne strony przez kilka lat następnych, które były źródłem jego egzystencji, wpływając pomyślnie na humor i zdrowie.

Okazuje się to z listów pisanych do p. Putkamerowéj, która, zdaje się, iż miała zamiar swatania Zana. W jednym z listów, wesołym i swobodnym, pisze przy końcu:

„Jestem w duszy mojéj szczęśliwy, choć w około siebie nic nie mam przemiennego. Miałbym na sumieniu przyzywać kogoś na biedę i samotne moje ubóstwo.“

Roku 1835 samemu już powierzono wyprawę naukową. Wyruszył na czele pięćdziesięciu Kozaków dla obrony i kilku Baszkirów jako przewodników z wyłącznym celem poszukiwania metalów. Gubernator zrobił mu obietnicę, iż pomyślny skutek téj wyprawy wyjedna mu carskie ułaskawienie i powrót do kraju. Widać, że cel w połowie tylko musiał być osiągniętym, skoro gubernator wyrobił mu tylko urlop. Miał z niego właśnie korzystać dla widzenia raz jeszcze podeszłego ojca, kiedy nadeszła wieść o zgonie jego. Zaniechał kosztownéj i trudnéj podróży, oczekując zupełnego ułaskawienia. Jak wysoki umiał wzbudzić szacunek dla siebie i wiarę w swą zacność, można osądzić z zaufania, które mu okazało zgromadzenie szlacheckie w Orenburgu, obierając go kasjerem.

Po latach czternastu wygnania pozyskał ułaskawienie zupełne w wrześniu 1837 wyruszył z Orenburga. Powrót nie był łatwym, miał jechać o własnym koszcie a funduszy potrzebnych nie miał. Spieniężał, co się dało, i dojechał chociaż z trudem do Petersburga.

Znalazł tu liczne grono dawnych znajomych i kilku przyjaciół, umieszczonych na różnych posadach; mieszkał z nimi i odetchnął z długiéj tęsknoty przy ich sercach.

Rozpatrzywszy się w swojém położeniu, widział, że powracając wprost na Litwę nie znajdzie od razu dla siebie żadnéj pracy ani stósownego zajęcia; przyjął zatém miejsce bibljotekarza w instytucie górniczych inżynierów. Poprzedziły go tutaj rekomendacje z Orenburga; posada była niemozolna i dość dobrze uposażona. Pensja roczna 1000 rubli srebr., pomieszkanie i stół bezpłatne w zakładzie. W ciągu swego pobytu w Petersburgu wydał po rosyjsku dzieło o górach Uralskich. Po półtrzecia roku pobytu wrócił na Litwę, na wiosnę 1841 r. Pierwszy list jego datowany z Druskiennik, gdzie się zbiera mnóstwo osób dla wód mineralnych. Otaczano go tutaj spółczuciem i szacunkiem ogólnym. Za ukazaniem się w Wilnie po 18 latach niebytności znalazł te same ciepłe serca dla siebie, tę samą wylaną przyjaźń. Pani Putkamerowa zjechała na jego powitanie z prośbą, aby się udał z nią na wieś na czas dłuższy. Matki i ojcowie zwozili mu swoje dzieci, każdy chciał go mieć u siebie i ugościć. Z równą czułością witali go i dawni profesorowie a między nimi Jundziłł, autor wspomnianych pamiętników. Kilka miesięcy trwały jego objazdy po Litwie, a po domach, gdzie dłużéj gościł, zbierali się obywatele dla powitania go lub poznania.

Po drodze odbywał badania ziemioznawstwa, zbierał kamienie i te spostrzeżenia swoje naukowe równie jak zbiory mineralogiczne przesyłał do Petersburga, gdyż dymisji z urzędu nie uzyskał, był tylko na urlopie.

W tych wycieczkach odbywał pielgrzymki do miejsc cudownych i grobów familijnych, nie opuszczając żadnego odpustu, co opisuje z głębokiém przejęciem religijném.

Przed Wielkanocą 1842 spotkał po raz pierwszy pannę Brygidę Świętorzecką, córkę pani prezydentowéj wileńskiéj, wdowy zamożnéj i jak się następnie pokazało, twardego serca kobiéty. Pisze do p. Putkamerowéj o Brygidzie:

„W usposobieniu pobożném, w jakiém się wtedy znajdowałem, uznałem ją — gdy ujrzeć tak mnie rada była — być Litwą, która wita zwróconego syna, aniołem, który młodość moją przypomina, bóstwem, które sędziwość milszą przepowiada. Pełna zdrowia i żywości, pobożna, wesoła, szczera, wyrozumiała.“

Święta wielkanocne przepędził u pani Świętorzeckiéj, gdzie zebrane rodzeństwo Brygidy, dwie siostry i trzech braci, okazywało mu szczerą życzliwość. Matka zezwoliła na zaręczyny, zastrzegając, aby służbę w Petersburgu zamienił na posadę w kraju a posag żony użył na większą dzierżawę lub zakupienie wioski. Z listów do narzeczonéj widać, że uczucie religijne zagórowało w duszy jego po nad wszystkie inne; ona równie gorliwą była w spełnianiu praktyk pobożnych. Częsta w tych listach mowa o odbytych pielgrzymkach do miejsc cudownych, o nabożeństwach odpustowych i kazaniach. Listy swoje do Brygidy zaczyna słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Marja N. P., Słowa Bożego i łaski Bożéj Matka, nadzieja nasza.“ Treść ich to śpiew miłości zwracanéj do Boga, ludzi i wybranéj swego serca. Nie wymawia imienia téj, dla któréj tyle przecierpiał — ojczyzny — lecz myśl o niéj spływa się z tonami téj pieśni, odczuwa to każdy, chociaż słów nie czyta.

Wśród tych chwil jasnych w życiu Zana nawiedziła go ciężka choroba, zapalenie mózgu. Spotkało go to w domu brata Ignacego, umiejętnego lekarza. Jego zapewne staraniom winien jedynie był życie, choroba ciężką być musiała, skoro pozostawiła takie ślady zniszczenia, jak to narzeczonéj opisuje. Przez trzy miesiące leżał bez przytomności, stracił trzy przednie zęby, wyłysiał i zestarzał się do niepoznania. Pani Świętorzecka, która, jak się zdaje, pod naciskiem tylko powszechnéj czci dla Zana zezwoliła na zaręczyny córki, postanowiła korzystać z nieszczęścia, jakie go dotknęło, i cofnęła pozwolenie.

Chociaż z wielkim smutkiem poddał się bez sarkania woli matki swéj narzeczonéj, budząc w Brygidzie odwagę do ofiarowania Bogu tego ciężkiego ciosu, jaki ich dotknął. Opóźniło to chwilę powrotu do zdrowia, słabość przeciągnęła się na długo jeszcze.

Powróciwszy do zdrowia wyjechał na Białą Ruś, w okolice Witebska, dla objęcia urzędu lustratora w dobrach poduchownych, zamienionych na rządowe. Przykro

mu było opuszczać okolicę, gdzie miał najwięcéj przyjaciół, gdzie pozostawiał brata i siostrę drogich jego sercu, a nareszcie i Brygidę, którą chociaż kochał teraz bez nadziei, radby być w jéj pobliżu jednakże.

Odtąd swoboda i szczęście, jakie wybijały w listach Zana, zaszły chmurą, życie wyraźnie mu ciężyło. Zatracił dawne oddawanie się losowi i pobłażliwość, praca go nużyła, na ludzi patrzał z ciemnéj strony, uskarżał się na przełożonych i podwładnych, od wszelkich towarzystw się usuwał.

Pisze: „Gośćmi i rozrywką moją są żebracy różnego wieku i płci.“

Jedyném zadowoleniem, jakie znajdował w swém położeniu, było, iż mógł nieść ulgę włościanom, być ich rzecznikiem i opiekunem. Swojém staraniem wyjednał, że robociznę zamieniono na czynsz, iż z inwentarza roboczego stawali się dzierżawcami.

Tak zwątpił w końcu o szczęściu swojém na ziemi, że nawet listy Brygidy zostawiał bez odpowiedzi. Tłómaczył się z tego przed przyjaciołmi, „że smucić jéj nie chce a nic wesołego o sobie nie ma do doniesienia.“

Po trzech latach zerwanego związku znów nadzieja wstąpiła do serca jego. Brygida przechowała te same uczucia, przyjaciele a bardziéj jeszcze przyjaciółki jego nie przestały prosić i nalegać o zezwolenie pani Świętorzeckiéj.

Pojechał dla złożenia swego uszanowania, zabrał szczepy róż które sadził razem z ukochaną, pobawił dni kilka dość dobrze przyjęty i weselszy wracał do Witebska. Odtąd jaśniéj zaczął się znów na życie zapatrywać i myśleć o własnym kawałku ziemi i wygodnym dworku.

Znalazł i tu pomoc wśród życzliwych mu osób, które mu ułatwiły nabycie na własność wsi Kohaczyna w gubernji mohylewskiéj, mającéj 60 włók ziemi z 125 duszami.

Część sumy szacunkowéj składała się z pożyczki bankowéj, reszty obiecano mu czekać, zostawiając do woli spłatę w ratach, kiedy zechce. Było to niedaleko Witebska, mógł pozostać przy urzędzie lustratora, który mu przynosił 1000 rs. oprócz utrzymania.

Mając tak pomyślnie ułatwione interesa, ośmielił się odezwać powtórnie do pani Świętorzeckiéj o rękę Brygidy. Lękał się, czy zezwolenie uzyska, wiedział, że trudności pochodzą jedynie z powodów majątkowych, bo nie lubiła wydawać posagu córkom, pragnęła oddać wszystko synom. Była panią całego majątku, pozostałość po mężu była niewielką, obdzielała dzieci, jak jéj się podobało.

Dała tą razą pozwolenie, niechętnie jednakże, bo nawet w zwykłą wyprawę córki nie zaopatrzyła.

Na ślub mnóstwo osób się wprosiło i zjechało, bo przeszło pięćdziesiąt pojazdów towarzyszyło nowożeńcom do kościoła. Odyniec napisał słowa do „Veni Creator“ a Moniuszko muzykę. Z różnych stron Litwy nadchodziły powinszowania, od bliższych przyjaciół dary. Konie do ślubu z uprzężą nadesłano, karetę kupiła panna młoda, niczego więc nie brakło do świetności wesela.

Ożenił się Zan w końcu października 1846 r. Zabrał żonę do Witebska, gdzie przepędzili zimę. Na lato Brygida osiadła dla pilnowania gospodarstwa w Kohaczynie, on zaś pozostał przy urzędzie lustratora jeszcze przez dwa lata. Urodził się synek pierworodny Wiktor; tęskno im było żyć zdala od siebie, porzucił więc urząd i zamieszkał stale na własnym kawałku ziemi. Kohaczyn z ciążącemi na nim długami nie wystarczał na potrzeby rodziny, dla tego Zan podejmował się badań geognostycznych, robiąc poszukiwania kopalń w rozmaitych stronach Litwy. Życzliwość obywatelska czuwała nad jego interesami, załatwiając wielokrotnie za niego spłaty bankowe i to w sposób pełen delikatności, jakoby na poczet zapłaty na pamiętniki, które miał pisać.

Pani Świętorzecka wypłaciła jakiś posag, ale mały bardzo w stósunku do jéj zamożności. Zużywano ten kapitalik w naglejszych potrzebach, nie spłaciwszy nim ciążących na wsi długów.

Ten kłopotliwy stan majątkowy nie zachmurzał pogody pożycia domowego pp. Zanów. Brygida była nieocenioną towarzyszką, delikatna, zaradna, rozumna, najczulsza żona i matka. Z rozrzewnieniem i czcią wspomina zawsze o niéj w listach do przyjaciół.

Włościanie byli dla obojga przedmiotem starań około ulepszenia ich moralnego i poprawienia doli materjalnéj. Brygida ukrzepiała w nich wiarę, zasilała radami i wspomagała w każdéj potrzebie. Zan sześć dni robocizny zmniejszył na dwa tygodniowo, przydając gospodarzom obowiązek żywienia dzieci i starców bez napędzania ich do pracy.

Kiedy 1853 r. nadeszło prawo, ograniczające stósunek panów do włościan, przyjęte przez wielu właścicieli z przerażeniem, Zan uważał je za prawdziwą łaskę nieba.

W ciągu siedmioletniego małżeństwa rodzina Zanów rozrosła się do czterech synów, przyjście każdego na świat witali rodzice z niewypowiedzianą radością. Jedyną przykrością wśród ogólnéj dla nich życzliwości była obojętność posunięta do niechęci ze strony pani Świętorzeckiéj. Jedyny list, psujący harmonję wylewanych uczuć przyjaźni w tym zbiorze, jest pisany do pani matki dobrodziejki w tonie zgryźliwym i ironicznym. Widać, że piszący tracił panowanie nad sobą, ztąd wnosić można, jak im dokuczać musiała.

Ostatni list jest z r. 1853, pisany do Malewskiego, mówi w nim o swéj starości i upadających siłach.

Zakończamy na tém sprawozdanie o Zanie, nie mając dalszych pewnych wiadomości o losie i życiu jego. Mamy nadzieję, że ktoś się znajdzie, co dokładniéj i obszerniéj jego życiorys napisze.

B. M.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

— Dr. **Geist**, dyrektor tutejszéj szkoły realnéj, znany u nas wynalazca klasyfikacji narodowościowéj, zasadzającéj się na końcówkach nazwisk, zapragnął przyczynić się ze swéj strony do uświetnienia uroczystości sedańskiéj z dnia 2 września w wysoce oryginalny sposób. Chłopcy z rozkazu jego złożyli się po złotówce żeby wieczorem pod wodzą wielce szacownego p. dyrektora pójść na piwo do knajpy znanéj tu pod mianem „Feldschloss Garten“, któréj właścicielami są członkowie komitetu urządzającego uroczystość.

Zachodzi pytanie, po co posyłamy dzieci nasze do szkoły realnéj? Czy dla tego, żeby przy zdarzonéj okazji wspomagały kasę przyjaciół p. dyrektora, czy dla tego, żeby je kształcono na politycznych agitatorów, czy téż żeby je zaprawiano do pijaństwa?

Ta uroczysta wycieczka do szynku, zdaniem naszém,

obowiązkową być nie mogła, dziwimy się zatém tym z rodziców polskich, którzy pozwolili aby dzieci ich poniewierały się w „Festkneipie.“

P. S. I. Już po złożeniu powyższéj wiadomości odbieramy smutną nowinę, iż uczniowie nawet polskiéj narodowości dawali składki na sedańską uroczystość za wyjątkiem syna tutejszego majstra stolarskiego, młodego **Leona Pawlickiego**, który został za to przez dyrektora Geista ze szkoły stanowczo wydalony. Ciekawi jesteśmy co powie władza na tak niegodne postępowanie przewodnika młodzieży, który właściwie powinienby być piwowarem.

P. S. II. W ostatniéj chwili donoszą nam, że władza wyższa nie pozwoliła Geistowi prowadzić dzieci do browaru „Feldschloss.“ Zachodzi tedy pytanie, co pocznie p. Geist z uzbieranemi par force złotówkami, co z wydalonym Pawlickim a nadewszystko ze swoim nieocenionym pomysłem?

* * *

— W Poznaniu wyszedł tom I nader ciekawego i ważnego dzieła X. Jana Bielskiego S. I. p. t. **„Widok Królestwa Polskiego** czyli najważniejsze wiadomości o wewnętrznych i zewnętrznych sprawach dawnéj Rzeczypospolitéj.“ Książka ta, rzadka dziś, napisaną była w r. 1763 — obecnie wydał ją na uczczenie 300-letniéj rocznicy Gimnasii ad S. Mariam Magdalenam pan **L. R.** (Dr. Ludwik Rzepecki). Oprócz właściwego textu, obejmującego w trzech księgach rzeczy: 1) O królu i jego rodzinie; 2) O stanach Rzeczypospolitéj i 3) O sprawach publicznych — dodał Szan. wydawca krótki rys dziejów gimnazji ad S. Mariam Magdalenam w Poznaniu, spis abiturjentów począwszy od 1805 do 1872 r., oraz spis profesorów i uczniów w jubileuszowym roku. Książka ta, sądzimy, będzie miała świetne powodzenie a Sz. wydawca pospieszy zapewne z ukończeniem chwalebnego przedsięwzięcia.

* * *

— Nakładem Bibljoteki Kórnickiéj wyszło świéżo z drukarni p. Łebińskiego w Poznaniu następujące dzieło: **„Komedje Plauta**: Aulularia — Mostellaria — Trinummus — Captivi, przełożył Dr. Jan Wolfram, profesor uniwersytetu warszawskiego. Dodano przedruk komedji Potrójny z Plauta Piotra Cieklińskiego w Zamościu 1597 r.“ Poznań 1873, in 8vo, str. VII i 483.

Prócz danéj w przedruku komedji „Potrójny“ z Plauta Piotra Cieklińskiego, będącéj raczéj przerobieniem, zastósowaném do stósunków polskich, niż wierném tłómaczeniem Plautowego Trinummus, nie mieliśmy dotychczas tłómaczenia tego rzymskiego komedjopisarza. Ś. p. Jan Wolfram, nauczyciel przy gimnazjum S. Marji Magdaleny w Poznaniu a następnie profesor uniwersytetu warszawskiego, postanowił przeto zbogacić naszą literaturę przekładem Plauta, — śmierć przedwczesna jednakże nie dozwoliła mu dokonać tego zamiaru całkowicie. W roku 1865 wydrukował w Bibljotece Warszawskiéj przekład komedji Captivi (Jeńcy), a umierając zostawił prócz tego w rękopiśmie trzy inne komedje t. j. „Garnek złota“ (Aulularia), „Widmo“ (Mostellaria) i „Trojak“ (Trinummus). Te 4 komedje, wraz z przedrukiem Cieklińskiego tworzą niniejszy tom, na który — jak to oświadczenie od zarządu Bibljoteki Kórnickiéj opiewa — złożyły się ze strony wdowy po ś. p. tłómaczu bezinteresowna troskliwość o pozostałe prace męża, a ze strony właściciela Bibljoteki Kórnickiéj gotowość oddania pośmiertnéj przysługi zmarłemu przez zbogacenie literatury naszéj wydaniem jego niestety niedokończonéj pracy. Wstrzymując się od krytyki, a ograniczając się jedynie na bibljograficznéj notatce, dodaję, iż przekład komedji poprzedza obszerny wstęp (str. 1—42), w którym tłómacz mówi o dramacie rzymskim, — o życiu i pismach Plauta, — o teatrze w Rzymie — i o aktorach w Rzymie. Na czele książki umieszczony jest piękny drzeworyt z portretem tłómacza, oraz życiorys tegoż, skreślony przez przyjaciela jego i kolegę tak w gimnazjum poznańskiém, jak w uniwersytecie warszawskim, prof. Józefa Przyborowskiego. **(Z.)**

* * *



Eustachy hr. Tyszkiewicz

27 sierpnia w Wilnie.

Zagadka.

Jest wąż, co między wężami ziemi
Z wężów się nigdy nie rodzi.
Siłą, szybkością i rzuty swemi
Nikt, nic z nim w parze nie chodzi.

W najokropniejszym rzuca się ryku
Na łup swój. Ma za łakocie
Rycerzy w zbrojach, gdy w zbitym szyku.
Wraz z końmi niszczy ich w locie.

Najtęższe twierdze, najstromsze skały
Jego napaści nie wzbronią,
Rozrzuci mury, mosty i wały,
Nie do zwalczenia jest bronią.

Szczęściem, raz w życiu groźnym jest tyle,
Bezpłodny — niszcząc sam ginie.
Poczém swe ciało sam grzebie w pyle
Zkąd znika — i w niebo płynie.

Z Abonentów zamiejscowych naszego pisma pierwszy, który nadeśle franco wyraz tłómaczący zagadkę powyższą, otrzyma widok **Posągów królów Mieczysława I i Bolesława Chrobrego, w kaplicy Raczyńskiego w Tumie w Poznaniu**, fotografją z natury zdjętą przez p. Juljana Morgenstern, na papierze welinowym we wielkim formacie.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.